

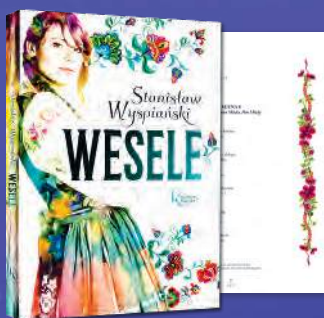


STEFAN ŻEROMSKI

SYZYFOWE PRACE

K Kolorowa
Klasyka

Poznaj inne części serii Kolorowa Klasyka!



K Kolorowa
Klasyka

A portrait of a young man with dark hair and a serious expression, wearing a laurel wreath. The image is faded and serves as a background for the top half of the cover.

STEFAN ŻEROMSKI

SYZYFOWE
PRACE

Kolorowa
Klasyka

Stefan Żeromski

Syzyfowe prace

Ilustracje:
Wojtek Świerdzewski
Marek Hlavac/Shutterstock.com

Redakcja:
Agnieszka Antosiewicz

Korekta:
Agnieszka Antosiewicz, Maria Zagnińska

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG® Sp. z o.o.

Kraków 2025

ISBN 978-83-7517-882-1

Wydawnictwo GREG®
ul. Klasztorna 2B
31-979 Kraków
tel. 12 680 15 50
www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.
Wszystkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Okładka:
Aleksandra Zimoch
Wykorzystano zdjęcia:
Evgeny Milkovich, Ollyy, Triff/Shutterstock.com

Skład i łamanie:
Pracownia Register

I

Termin odstawienia Marcina do szkoły przypadł na dzień czwarty stycznia.

Obydwoje państwo Borowiczowie postanowili odwiedzić jedynaka na miejsce. Zaprzężono konie do malowanych i kutych sanek, główne siedzenie wysłano barwnym, strzyżonym dywanem, który zazwyczaj wisiał nad łóżkiem pani, i około pierwszej z południa wśród powszechnego płaczu wyruszono.

Dzień był wietrzny i mroźny. Mimo to jednak, że szczyty wzgórz kurzyły się nieustannie od przelatującej zadymki, na rozległych dolinach, między lasami, zmarznęte pustkowia leżały w spokoju i prawie w ciszy. Szedł tylko tamtędy zimny przeciąg, wiejąc sypki śnieg niby lotną plewę. Gdzieś tam waleśały się nad zaspami smugi najdrobniejszego pyłu jak dymek przyduszonego paleniska.

Chłopak siedzący na koźle, podobny do głowy cukru opakowanej szarą bibułą, w swym śpiczastym baszłyku¹, który w tamtych okolicach od dawien dawna uległ nostryfikacji² i otrzymał swojską nazwę *maślocha*, i w brunatnej sukmanie – mocno trzymał lejce garściami ukrytymi w niezmiernych rękawicach wełnianych o jednym wielkim palcu.

Konie były wypoczęte, nie chodziły bowiem od pewnego już czasu do żadnej ciężkiej roboty, toteż pomykały, parszcząc, ostrego kłusa po ledwo przetartej, a już znowu na pół zadętej drożyni, i sucho, jednostajnie trzaskały podkowami o nadmarzniętą zwierchnią skorupę śniegu.

Pan Walenty Borowicz ćmił fajkę na krótkim cybuszku, wychylał się co kilka minut na bok i przyglądał uważnie już to sanicom, już to migającym kopytom. Wiatr go chłostał po zaczerwienionej twarzy i on to zapewne wyciskał owe łzy, które szlachcic ukradkiem ocierał.

Pani Borowiczowa nie siliła się wcale na maskowanie wzruszenia. Łzy stały bez przerwy w jej oczach skierowanych na syna. Twarz ta, niegdyś piękna, a w owej chwili wyniszczona już bardzo przez troski i chorobę piersiową, miała niezwykle wyraz namysłu czy jakiejś głębokiej a gorzkiej rozważi.

Malec siedział „w nogach”, tyłem do koni. Był to duży, tęgi i muskularny chłopak ośmioletni, z twarzą nie tyle piękną, ile rozumną i miłą. Oczy miał czarne, połyskliwe, w cieniu gęstych brwi ukryte. Włosy krótko przystrzyżone „na jeża” okrywała barankowa czapka wciśnięta aż na uszy. Miał na sobie zgrabną

¹ *baszłyk* – nakrycie głowy, kaptur z długimi końcami do wiązania wokół szyi.

² *nostryfikacja* – tu żartobliwie: prawo obywatelstwa.



jednak, pieszczoch i łobuz niesłychany. Umiał on wszelkie przespiewki, znał na pamięć usposobienie każdego z profesorów i na tej znajomości psychologicznej fundował swe nabieranie belfrów, ściągania wszelkiego rodzaju, podpowiadanie i sposoby wydalen z klasy na wagary. Nigdy nie odrabiał żadnej lekcji, okpiwał korepetytorów, a mnóstwo czasu i sprytu tracił na wyprowadzanie w pole nauczycieli w szkole. Zawsze wychodził do tablicy z cudzym kajetem, owiniętym w arkusz papieru ze swym nazwiskiem, umiał do tłumaczeń łacińskich kłaść jakieś karteczki w taki sposób, że ich nawet sam p. Leim znaleźć nie był w stanie, wszystkie lekcje ustne wydawał z podpowiadania lub genialnie ściągał. Do stałych zwyczajów Wilczka należało uciekanie z kościoła w niedzielę i dni galowe. Wymykał się prawie z rąk ks. prefektowi, jakby mu się pod nosem w ziemię zapadał, potem uciekał na dwór jakimis dziurami pod chórem i gnał na parę godzin w pola. Jesienią wykradał rzepę z ogrodów podmiejskich, w zimie używał ślizgawki albo spaceru. Zaznajomiwszy się bliżej z Marcinem Borowiczem, dzięki temu że ich posadzono w jednej ławie, Wilczek jął edukować symplicjusza¹⁰³. Marcinek uległ jego wpływowi, za punkt honoru teraz uważał praktykowanie różnych sztuk i sposobów zamiast mozolnej nauki – i dawał się wodzić na wagary.

Pewnej galówki w grudniu obadwaj bryknęli za miasto przed nabożeństwem, które w miejscowym kościele miało się odbyć o godzinie dziesiątej. Na rzeczce łód był jaki taki, więc używali do syta, później włóczyli się obok plantu kolejowego¹⁰⁴, brnęli po śniegu i z satysfakcją taplali się w wodzie. Marcin zmarzł i powiedział do Wilczka:

- Ty, ja idę do kościoła.
- E, widzisz, ośle... Takiś stary kolega! Już się boisz księdza...
- Nie boję się, tylko mi zimno.
- O bydlę! zimno mu. Mnie wcale nie zimno.
- Ja już idę. Chodź, Wilczek! Co tu będziesz robił!
- To idź sobie, ośle! Widzisz go. Jeszcze ty pożałujesz... Niby to udaje... stary kolega, a fagasuje księdzu...

Marcinek pędem ruszył ku miastu. Wilczek cisnął za nim bryłą grudy i pokazał mu język, a sam znowu zaczął się ślizgać. Borowicz rozpiął szynel i biegł prędko. Mijał ulice, jakich o tej porze nigdy jeszcze nie widział, gdyż był to czas, kiedy codziennie siedział na lekcjach. Zdawało mu się, że robotnicy, emeryci, stare panie, a nawet kucharki, z koszykami wracające do domów, niewątpliwie widzą jego łotrostwa. Zmęczony przybiegł nareszcie do kościoła, pchnął wielkie drzwi wchodowe i wsunął się do zimnych przedsionków prowadzących na chór. Marcinek należał do grona śpiewaków, którzy po ukończeniu sumy wykonywali hymn państwowy.

¹⁰³ *symplicjusz* – naiwniak, prostaczek.

¹⁰⁴ *plant kolejowy* – nasyp kolejowy (miejsce, po którym biegą tory).





W przedsionkach, korytarzach i krużgankach nie było nikogo, siedł tedy na palcach, skradając się do małych drzwiczek, które prowadziły na schody i do chóru. Uroczyste nabożeństwo galowe jeszcze trwało. Organy huczały, toteż nikt nie słyszał, jak drzwi skrzypnęły.

Marcinek wszedł na kręcone schody kamienne i stąpał cicho, pragnąc niepostrzeżenie wejść na chór i uniknąć noty w dzienniku nauczyciela śpiewu grającego na organach.

W wieży było ciemno, tylko w pewnych miejscach padał na kamienne stopnie blask światła z wąskich okienek, które na zewnątrz były tylko szparami, a ze strony wewnętrznej tworzyły dosyć szerokie framugi.

Marcinek przebył już był prawie cały komin i zbliżał się do drzwiczek chóru, kiedy nagle ścierpł ze strachu.

Oto pod samymi drzwiami klęczał prefekt ks. Wargulski.

Z okienka padała na jego głowę i płaszcz granatowy z dużym kołnierzem biała plama i dozwalała widzieć całe podługowate czoło i twarz surową.

Prefekt miał oczy zamknięte, ręce złożone i gorąco się modlił. Wargi jego poruszały się z wolna, a głowa czasami drgała niespokojnie.

Marcinek stał bez ruchu, nie śmiejąc oddychać z przerażenia.

Ksiądz był surowy i trzymał całą szkołę w trwodze panicznej.





Jeżeli z dziennika wrywał kogokolwiek do lekcji, to zawsze stawała na środku jedna i ta sama osobistość i wypowiadała we wszystkich porach roku jeden i ten sam ustęp. W klasie trzeciej np. uczeń Białek był „specjalistą od kałmuka” i opowiadał przez rok cały jakąś brednię o tym, jak księżniczka ruska Olga powiązała wróblom ogony i spaliła jakieś miasto „Iskorostien”. Czasami Ilarion zaczynał spazmatycznie wrzeszczeć:

– Ja ci się, bałwanie, pytam, co wiesz o Karolu Wielkim! O księżniczce Oldze słyszałem już sześćset razy od ciebie!

Wówczas przewracano ławki, rozpoczynały się bitwy między gromadami uczniów – i w rezultacie wpadał do klasy brutal inspektor, ażeby któregoś tam z *zaczińszczików*¹⁰⁹ wsadzić do kozy, ale i samego Ilariona ostro zwymyślać. Ozierskij był człowiekiem wykształconym. Władał kilkoma językami, a w klasie ósmej pięknie objaśniał utwory Puszkina i Gogola. Był jednak tak dalece rozlazły, że z miasta nigdy nie mógł trafić do swego domu. Codziennie prawie zdarzała się historia, że spotykał na ulicy jakiegoś ucznia i wołał na niego:

– Ty – jak ci tam?... Gdzie mieszka nauczyciel Ozierskij?

– No, a przecież pan jesteś nauczyciel Ozierskij.

– To niczego nie dowodzi, o to ci się nie pytają. Prowadź mię do mojego mieszkania!...

¹⁰⁹ *zaczińszczik* (ros.) – podżegacz, prowodyr.





W klasie pierwszej wykładano również język polski. Był to przedmiot nie-obowiązkowy. Nauczycielem tego „miejscowego języka” był niejaki p. Sztetter, człowiek światły, ale tak wiekuiście wylękły o swoją posadę, że właściwie niczego nie uczył. Obarczony był liczną rodziną; kilku chłopców jego uczęszczało do męskiego, a kilka córek do żeńskiego gimnazjum i zapewne niepokój o los ich przeszkadzał p. Sztetterowi uczyć przynajmniej pisać ortograficznie. W klasach wyższych zdobywał się biedny belfer czasami na jakąś wzmiankę o literaturze polskiej, a mówił to z miną tak przerażoną, że tylko śmiech budził.

W klasie pierwszej lekcje języka polskiego odbywały się cztery razy tygodniowo w porze bardzo niewygodnej, bo między godziną ósmą i dziewiątą z rana. W zimie bywało wtedy szaro i chłodno. Chłopcy siedzieli skuleni i senni. Nauczyciel przychodził w swoim futrze szopowym, tulił się w nie i drzemał z otwartymi oczami, podczas gdy wzywani do katedry tłumaczyli z wypisów Dubrowskiego¹¹⁰ urywki nudne jak odwar z lukrecji. Po odczytaniu i przełożeniu na rosyjskie danego kawałka następował rozbiór, dokonywany po rosyjsku i na modłę rosyjską. W ciągu całej lekcji nauczyciel nie mówił ani słowa po polsku i z niechęcią prostował faktyczne błędy. Uczniowie odrabiali ten „przedmiot” jak wstrętną katorgę. „Polskie” była to godzina stokroć nudniejsza od kaligrafii i „Zakonu Bożego”,

¹¹⁰ *wypisy Dubrowskiego* – obowiązujący wówczas w szkołach podręcznik *Wypisy polskie dla ćwiczenia się w przekładach z języka polskiego na ruski*.





– Fiu – fiu. A po cóż to?
– Do szkół, proszę wielmożnego pana.
– Cóż, u licha! Ojciec na szkoły dla ciebie ma, a na furmankę nie ma? Konie trzymają ojciec?

– Nie.
– Więc skądże, do diabła, bierze na szkoły, jeśli nawet koni...
– Mój ojciec służy we dworze... – powiedział Radek z rumieńcem na twarzy.
– Za karbowego, czy jak?

Młodzieniec wahał się przez chwilę, pragnąc z całej siły skłamać i potwierdzić, ale przemógł się wreszcie i wyznał:

– Nie, za rataja.
– Patrzcie państwo! Już teraz rataje kształcą swe potomstwo w Klerykowie. A do którejże to klasy walisz w tym tornistrze, mój filozofie?

– Do piątej, proszę wielmożnego pana.
– Do piątej? No, proszę... Jakże to sobie radę dajesz w tym Klerykowie, skoro tak rzeczy stoją?

– W Pyrzogłowach dawałem korepetycje.
– W Pyrzogłowach? Ja się pytam o Kleryków.
– Nie znam Klerykowa, wielmożny panie.
– To ty dopiero pierwszy raz?
– Pierwszy.
– I myślisz tam również tymi korepetycjami handlować?
– Nie wiem, proszę wielmożnego pana. Tak idę...
– „Tak” idziesz? No, to siadaj, na kozioł, podwiozę cię do miasta.

Radek szybko wgramolił się na kozioł i usiadł obok tęgiego furmana w liberynej czapce i letnim ubraniu w białe i niebieskie prążki. Konie skoczyły z miejsca i poniosły bryczkę wśród tumanów burego pyłu. Kiedy niekiedy tylko ukazywały się oczom młodzieńca niewielkie chaty, drzewa, słupy wiorstowe i dalekie gaje. Nie panował on już nad sobą ani nad swymi postanowieniami. Wszystkim zaczęło rządzić ślepe zdarzenie czy cudza fantazja. Wiedział to jedno, że po przyjeździe, który sam przez się był już dziełem szczęśliwego trafu, czeka go cały szereg wstrząśnień i rozmaitych zjawisk o nieznanym kształcie, zakresie i kierunku. Co to będzie dalej? „Jaki – myślał – jest ten Kleryków? A może się uda... Początek zdawał się zły, a może też za to...”

Na szosie ukazywały się zwiastuny Klerykowa: zdążało więcej pieszych, wozów z tarcicami, bryczek szlacheckich i ogromnych fur, na których trzęsły się istne sterty Żydów. W pewnym miejscu wyrosła pod górką duża cegielnia, a dalej na horyzoncie fabryka z czerwonej cegły. Radek oglądał takie budowle po raz pierwszy. Serce jego ścisnęło się, a wszystkie uczucia chwycił i zdławił jakby kurcz długotrwały. W tym stanie mniemanego spokoju młodzieniec przyjechał do miasta. Kleryków zrobił na nim wrażenie kamiennego labiryntu, ogromu.







SPIS TREŚCI

I	5
II	20
III	35
IV	49
V	61
VI	71
VII	77
VIII	82
IX	90
X	95
XI	108
XII	116
XIII	139
XIV	152
XV	159
XVI	165
XVII	174
XVIII	183



Skompletuj całą serię



**DOKTOR DOLITTLE
I JEGO ZWIERZĘTA**

Hugh Lofting



**AKADEMIA PANA
KLEKSA**

Jan Brzechwa



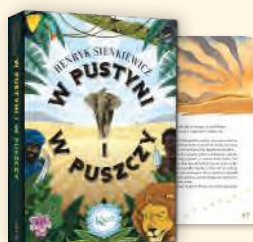
**PAMIĘTNIK
CZARNEGO NOSKA**

Janina Porazińska



TAJEMNICZY OGRÓD

Frances Hodgson Burnett



W PUSTYNI I W PUSZCZY

Henryk Sienkiewicz



OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Karol Dickens



**ANIA Z ZIELENEGO
WZGÓRZA**

Lucy Maud Montgomery



QUO VADIS

Henryk Sienkiewicz



PRZEDWIOŚNIE

Stefan Żeromski



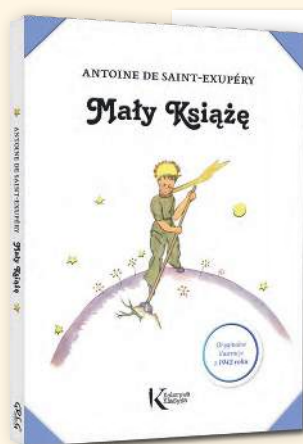
ROMEO I JULIA

William Szekspir



LALKA

Bolesław Prus



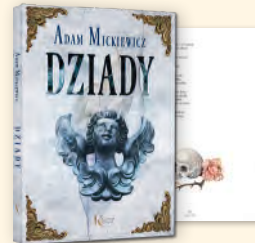
**MAŁY KSIĄŻĘ
(z ilustracjami
Autora z 1942 roku)**

Antoine
de Saint-Exupéry



CHŁOPI

Władysław Stanisław
Reymont



DZIADY

Adam Mickiewicz

Pełnej oferty szukaj w najlepszych
księgarniach i na www.greg.pl!



Borowicz zakochał się w pannie Annie przy końcu zimy.
W dzień mroźny i śniegowy szedł w stronę gimnazjum
i spotkał panienkę zdążającą do cerkwi. (...)

Skręcił na miejscu i włókł się za nią. „Biruta” szła
wolnym krokiem. Śnieżynki lekkie jak puch płynęły
w powietrzu i krążyły dokoła tej głowy ubranej
w barankową czapkę. Jedne z nich siadały potajemnie
na promieniach jasnych włosów wymykających się
spod czapki, inne obcesowo pędziły do ust różowych
i za tę śmiałość świętokradzką skonały w gorącym
oddechu, jeszcze inne czepiając się brwi i długich rzęs
zaglądały w smutne oczy. Borowicz raz tylko w nie spojrzał
i wnet zleciało na niego jakby wśród widnego dnia
wypadające zaćmienie słońca. Te duże lazurowe źrenice,
co udzielały nawet białkom nikłej półbarwy błękitu,
wcieliły się w jego duszę...

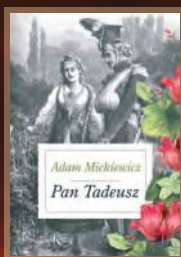


Skompletuj całą serię **Kolorowa Klasyka**:

Ziele na kraterze



Pan Tadeusz



Latarnik



Przedwiośnie



i inne tytuły.

ISBN 978-83-7517-882-1



9 788375 178821 >

Kolorowa
Klasyka

ul. Klasztorna 2B, 31-979 Kraków
www.greg.pl